

Handel żywym bedbojem



Joanna Maziarek

Okładka książki na tle turkusowej, lekko zniszczonej drewnianej powierzchni z wyciętym w niej dużym kształtem serca. Na górze widnieje napis *Handel żywym bedbojem stylizowaną, odręczną czcionką*. Na dole znajdują się trzy rysunkowe postacie starszych kobiet: po lewej uśmiechnięta kobieta w pomarańczowym stroju macha ręką, w środku kobieta z krótkimi włosami stoi z założonymi rękami i mruga okiem, po prawej kobieta w okularach i różowym swetrze uśmiecha się. Pod postaciami widnieje imię i nazwisko autorki: Joanna Maziarek.

Copyright© Tekst by Joanna Maziarek

Copyright© by Joanna Maziarek

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved, Jarosław 2026

Redaktor prowadzący: Joanna Maziarek

Redakcja: Magda Kukawska @magda_kukawska_autorka

Korekta: Edyta Kene @edyta_kene.autor , Agnieszka Nowaczyk @chwila.z.ksiazka

Opracowanie okładki: elementy graficzne pochodzą z Canvy

Wydanie I

978-83-954278-9-3

Kopiowanie, reprodukcja, dystrybucja lub jakiegokolwiek inne wykorzystanie niniejszej publikacji w całości lub części, bez wyraźnej zgody autora, jest surowo zabronione zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa o prawach autorskich. Niniejszy tekst stanowi wyłączną własność autora i podlega ochronie zgodnie z przepisami międzynarodowymi oraz krajowymi dotyczącymi praw autorskich.

<https://www.instagram.com/joannamaziarekstronaautorska/>

<https://www.tiktok.com/@joannamaziarek>

<https://www.facebook.com/joannamaziarekautorka>

Handel żywym bedbojem

Joanna Maziarek

Dla Moniki Baczyńskiej. Szopy to Twoja zasługa. Szopy to też najlepsze, co nas spotkało. Aj szop ju. Niech trójca święta będzie z Tobą.

Rozdział 1

Julian

– Dzięki, stary. Ta dziara jest kozacka.

Podniosłem wzrok na klienta, który przeżył przed lustrem biceps i uważnie studiował nowe dzieło na swoim ciele. Tatuaż przedstawiał zwykłego kundelka leżącego na grzbiecie i proszącego o trochę czułości. Musiałem przyznać, że pomimo prostoty wzoru, chwycił za serce.

Wspomniany klient, zjawił się u mnie jakiś czas temu i ze łzami w oczach poprosił, żebym upamiętnił jego wiernego przyjaciela, którego pożegnał ledwo tydzień wcześniej. Udało mi się go wcisnąć pomiędzy terminami, a dzisiaj sprawilem, że na jego twarzy wypłynął odrobinę melancholijny uśmiech.

– Polecam się na przyszłość – podsumowałem z mieszaniną współczucia i lekkiego wzruszenia w głosie.

Obecnie nie miałem żadnych zwierząt, ale w dzieciństwie rodzice pozwolili mi wziąć kota ze schroniska. Bardzo się z nim zżyłem, natomiast po jego odejściu długo nie potrafiłem się pozbierać. Od tamtej pory nie zdecydowałem się na ponowne przysmarowanie futrzaka, bo przerażał mnie ból, który zawsze towarzyszył rozstaniu.

– Naprawdę wiernie go odwzorowałaś – ciągnął zachrypniętym od emocji głosem. – Dziękuję. – Podszedł do mnie i podał mi dłoń, więc ją uściśnałem. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – pożegnałem go i odprowadziłem wzrokiem do drzwi.

W końcu zostałem sam. Dokończyłem sprzątanie, po czym podszedłem do okna wychodzącego na ruchliwą ulicę Jagiellońską.

W Warszawie mieszkałem od urodzenia. Mój ojciec stąd pochodził. Matka przyjechała do stolicy na studia i już w niej została. Rok po ukończeniu przez nią kierunku wzięli ślub, a dwa lata po tym przyszedłem na świat. Powinienem być oswojony z gwarem, tłumami i pędem, jednak te wszystkie niedogodności coraz mocniej mi doskwierały. Kiedyś z nimi walczyłem, starałem się je ignorować, udawałem, że nie istnieją. Niestety im więcej przybywało mi wiosen, a w marcu tego roku skończyłem trzydzieści trzy lata, tym bardziej chciałem się stąd wynieść.

– Lemur!

Obróciłem się w kierunku drzwi, gdzie stał mój przyjaciel, Szymon Frankowski, z którym od dziesięciu lat prowadziłem ten salon. Nazywał mnie Lemurem na cześć króla Juliana z Madagaskaru, ponieważ kiedyś uwielbiałem tę bajkę.

Ja i Szymek poznaliśmy się jeszcze w liceum, chodziliśmy do tej samej klasy. Obaj kochaliśmy rysować, a maszynka stała się przedłużeniem naszych rąk. Po zajęciach w szkole

szlifowaliśmy na sobie trudną sztukę tatuowania, czego owocem były w większości mocno niedopracowane wzory. Tych pozbyliśmy się w późniejszych latach, przykrywając je prawdziwymi arcydziełami. Tak oto zostałem żywą reklamą Exodusa, naszego salonu. Począwszy od kostek, skończywszy na szyi, cały byłem wydziarany.

– Cześć, stary. – Skinąłem głową w jego stronę. – Skończyłeś na dzisiaj?

Kiedyś się zastanawialiśmy, czy nie zatrudnić kolejnego tatuażysty, który by nas wsparł, ale po pierwszym fiasku, jakim okazał się nasz jedyny pracownik, doszliśmy do wniosku, że nie będziemy z nikim dzielić się naszym „dzieckiem”. Exodus oznaczał dla nas zbyt wiele, aby pozwolić płatać się tu byle komu.

– Skończyłem. Browar? – Szymon poruszył znacząco gęstymi, jasnymi brwiami.

– Czytasz mi w myślach, Salvatore.

Frankowski warknął, co skwitowałem jedynie wzruszeniem ramion. Nienawidził, kiedy tak się do niego zwracałem, a już zwłaszcza w pobliżu młodych lasek. Siksy, jak na zawołanie, uzmysławiały sobie, że Szymon z wyglądu przypominał jednego z braci Salvatore, Stefana. Dokładnie z tego serialu dla zdesperowanych małolat.

Wtedy dopiero zaczynało się przedstawienie. Fotki i niekończące się pytania. Jedna nawet chciała jego autograf, nie pojmując, że Szymek to nie Stefek na wizytacji w kraju swoich przodków. Na wspomnienie tej sytuacji moje usta wykrzywiły się w beczelnym uśmiechu.

– Nawet nie zaczynaj, matole – burknął w odwecie, więc mocno przygryzłem wnętrze policzka, żeby się nie roześmiać.

– Przecież nic nie mówię.

Długo jednak nie wytrzymałem – ostatecznie parsknąłem śmiechem. Szymon ciskał we mnie gromy z oczu, co jeszcze bardziej mnie nakręciło. Podejrzewałem, że prędzej czy później się zemści. W odpowiednim momencie byłem gotów stawić temu czoła.

– Idę sam – oznajmił, po czym odwrócił się na pięcie. – Nara, złamasie.

– Zaczekaj – poprosiłem grzecznie. – Postawię ci browara – zacząłem kusić, gdy się nie odezwał.

– Jednego? Uważasz, że się tym zadowolę?

– Myślałem, że lepiej ci płacą – sarknąłem i jak na komendę obaj ryknęliśmy ze śmiechu. – W porządku. Idziemy pić za moje.

Na całe szczęście nazajutrz nie pracowaliśmy, więc spokojnie mogłem się nawalić. Wbrew pozorom nie zdarzało mi się to często – ot raz na jakiś czas spuszczałem się ze smyczy, a następnego dnia solennie obiecywałem, że nigdy więcej nie wleję alkoholu do ust.

– Lecisz na konwent do Londynu? – zapytał przyjaciel przy zamykaniu lokalu.

Włączyłem alarm, a kiedy wyszliśmy na ulicę, wziąłem głęboki oddech.

To miasto coraz bardziej mnie przytłaczało. Marzyłem o ciszy i spokoju, zmianie, ucieczce od tej ciężkiej aury, która snuła się za mną od lat. Nie powiem, miałem tu nieskończone możliwości, wyrobiłem sobie nazwisko, byłem szanowany wśród ludzi z tego środowiska, a rodzice byli ze mnie dumni. Ciągłe powtarzali, że stałem się kimś, że ludzie się ze mną liczą.

Początkowo pochlebstwa i szerokie perspektywy powstrzymywały mnie przed wyjazdem z Warszawy. Przywykłem do roli wzoru dla tych, którzy marzyli o zawodzie tatuażysty. Moje prace pokazywano na konwentach, klienci wracali po kolejne dziary. Był też Szymon. Moje ego królowało i spychało podszepty serca o porzuceniu stolicy. Niestety dzisiaj te podszepty wypłynęły spiętrzoną falą i zalały umysł, który nie był w stanie dłużej ich bagatelizować.

– Obiecałem, że się zjawię – odpowiedziałem po dłuższej chwili milczenia.

Konwent odbywał się za kilka dni, a ja znacznie wcześniej potwierdziłem swoją obecność. Liczyłem tylko, że nie spotkam kilku osób, których od jakiegoś czasu unikałem. Mogłoby się to źle skończyć.

– Kipisz entuzjazmem. Co się dzieje? – Szymek popchnął drzwi do jednego z naszych ulubionych pubów, więc skrzętnie wykorzystałem okazję i wszedłem pierwszy.

Za plecami usłyszałem prychnięcie przyjaciela, lecz je zignorowałem.

– Muszę się napić – stwierdziłem i uderzyłem prosto do baru.

– Znajdę stolik. Zamów to, co zwykle – poinstruował mnie.

W ostatniej chwili powstrzymałem się przed komentarzem, że nie potrzebuję przypomnienia. Na szczęście w porę ugryzłem się w język. Szymek nie zasłużył na to, żebym wyżywał się na nim za mój pogarszający się humor.

Taki stan towarzyszył mi coraz częściej. Kochałem Exodus, w Warszawie miałem mnóstwo znajomych, mieszkanie i możliwość dalszego rozwoju. Powinienem być szczęśliwy i spełniony, ale miasto wysysało ze mnie energię. Męczyłem się, coraz szybciej zbliżając do granicy wytrzymałości. Mimo to nie chciałem nic mówić Frankowskiemu. Pajac zbyt często się o mnie martwił, a przecież jego żona, Żaneta, była w ciąży. Miał o kogo dbać.

– To teraz się spowiadaj – zarządził po tym, jak dotarłem do stolika z dwoma kuflami wypełnionymi złocistym trunkiem.

Spojrzałem na niego spod przymrużonych powiek i uśmiechnąłem się nieszczerze.

– To nic takiego, po prostu kiepski dzień.

– Twoje kiepskie dni ostatnio się powtarzają, nie uważasz? – Szymek nie spuszczał ze mnie baczного wzroku. Starałem się powstrzymać cisnący się na twarz grymas irytacji, lecz zapomniałem, że Salvatore był jednym z najbystrzejszych ludzi, jakich znałem.

– Przesadzasz. Po konwencji zrobię sobie wolne, odetchnę i mi przejdzie.

Chwyciłem za szkło i od razu pochłoniąłem jedną trzecią zawartości.

– Stary – Szymek westchnął przeciągle i odsunął od siebie browar, po czym splótł dłonie jak do spowiedzi – martwisz mnie. I nie pierdol, że wszystko się ułoży, jak wyjedziesz na krótkie wakacje. Nie powinienes dłużej ignorować tego, że Warszawa od dawna nie jest miejscem dla ciebie.

– To jakaś sugestia? Chcesz przejąć biznes? – zadrwiłem.

Kpiną usiłowałem tuszować poczucie winy, które od lat skrywało się pod moją skórą. Tak właściwie Szymon i nasz salon były ostatnią nicią, która mnie tu trzymała. Nawet rodzice nie mieli na mnie wpływu.

– Lemur – warknął niespodziewanie, aż uniosłem brwi. – Przestań zachowywać się jak palant i nie udawaj przede mną. Przyznaję, od dawna dostrzegałem pewne symptomy, ale z własnego egoizmu je bagatelizowałem. Jednak dłużej nie mogę ci tego robić i przepraszam, że wcześniej o tym nie powiedziałem.

Znieruchomiałem z dłonią wyciągniętą w stronę kufła. Nie takiego przebiegu wieczoru się spodziewałem.

– Daj mi dokończyć – poprosił bez uprzedniej złości. – Nie możesz ciągle na mnie patrzeć. Powinienes skupić się na sobie i swoim szczęściu. Jesteś moim przyjacielem, zależy mi na tobie, stary durniu. Nie chcę, żebyś gnił w Warszawie z przymusu, znajdź sobie komfortowe miejsce i przy okazji kogoś, z kim będziesz cieszył się życiem.

Zacząłem przyglądać się kufłowi z piwem – przecież na własne oczy widziałem, jak barman otwierał nienaruszoną butelkę i przelewał jej zawartość do szkła. Nie było szans, żeby cokolwiek mi dosypał.

– Salvatore, siedzimy w tym razem, nigdzie się nie wybieram – oznajmiłem stanowczo, pomimo zasłyszanej informacji. Pragnąłem uciec, ale nie chciałem tego robić kosztem przyjaciela i naszej więzi. Taki ze mnie altruista-amator.

Kumpel milczał przez dłuższą chwilę. Jednocześnie świdrował mnie wzrokiem, co doprowadzało mnie do szału. Zgrzytnąłem zębami, jednak nie dałem mu tej satysfakcji i nie fuknąłem.

– W pewnym momencie należy coś zmienić – przyznał cicho, z niepasującą do niego powagą.

Niemal udławiłem się jego słowami. Czuję się, jakbym cierpiał na rozdwojenie jaźni – z jednej strony marzyłem, by wrócić do mieszkania, spakować walizkę i zostawić ten syf za sobą, najlepiej zabierając ze sobą Szymona w drugiej walizce. Ale on miał tu całe swoje życie i w

przeciwieństwie do mnie wcale nie potrzebował się stąd wyrwać. Zresztą Żaneta urwałaby mu jaja – kochała Warszawę całym sercem.

– O czym ty mówisz? – Dopiero po chwili zorientowałem się, że zbyt mocno ściskam kufel. Gdyby pękł, uszkodziłbym dłoń, a przecież w mojej pracy była mi niezbędna. Obydwie były.

– Nie zamierzam cię tłamsić i nieustannie zmuszać do życia w Warszawie. Kocham z tobą pracować i kocham Exodus, bo to nasze wspólne dziecko. Ale nie na tym rzecz polega, żebyś siedział tu wyłącznie z mojego powodu. Kocham cię jak rodzonego brata, życzę ci szczęścia. Ruszaj, jeśli tego potrzebujesz, znajdź spokój ducha i podrywaj laski w jakiejś innej mieścinie. Radom albo Skarżysko Kamienna. Są mniejsze od Warszawy – przyznał z błakającym się po ustach głupim uśmiechem.

Wytrzymałem może dwie sekundy, zanim wybuchnąłem śmiechem, a Szymon do mnie dołączył. Tym samym udało nam się rozładować napięcie – przynajmniej w pewnym stopniu. Nie mogłem jednak podejmować decyzji pod wpływem chwili, nawet z błogosławieństwem Salvatore.

Jak się okazało, o czym doskonale powinienem pamiętać, alkohol lubi rozwiewać wątpliwości, zwłaszcza jeśli człowiek zwolnił hamulec. Zasiadaliśmy się z Szymonem, piwo gładko spływało po gardle, a kiedy przestało wystarczać, przerzuciłem się na Jacka Danielsa. Ile go wypilem? Nie miałem pojęcia.

– Odprowadzę cię – zapowiedział, gdy po kilku godzinach wstał od stolika. Frankowski, Jack stwierdził, że zostaje w lokalu.

Przewróciłem oczami. Przecież nie potrzebowałem niańki. Nie byłem najtrzeźwiejszy, ale też nie w takim stanie, żeby nie ustać na nogach. Poza tym na Szymona czekała Żaneta, a ja wolałem nie wkurzać ciężarnej. Już i tak się cieszyłem, że nie sprzeciwiała się naszym wypadom. Hormony czyniły z kobiet niebezpieczne istoty.

– Wracaj do żony, pewnie już za tobą wygląda – wytoczyłem najcięższe działo.

Kumpel zmrużył oczy i w końcu zrezygnowany pokręcił głową. Zresztą po wyrazie jego twarzy poznałem, że też stęsknił się za Żanetą i chętnie by sprawdził, czy piersi jej nie urosły. Ostatnio się przyznał, że to one najbardziej go rajcowały przy jej odmiennym stanie. Typowy facet. Nie żebym był w tym lepszy od niego.

– Daj znać, jak wejdiesz do mieszkania – nakazał tym swoim autorytatywnym tonem głosu.

Coś ścisnęło mnie w okolicy serca. Żałowałem, że nie miałem rodzeństwa – matka z ojcem nigdy nie zdecydowali się na powiększenie rodziny, więc to, że moje i Szymona drogi się przecięły, uznawałem za swoisty cud. Gdybym tylko wierzył w Boga lub inną siłę wyższą.

– Dam. – Wyjątkowo nie zamierzałem się kłócić. Wtedy na pewno bym się go nie pozbył.

Zamówiłem przejazd Uberem i uściśnałem przyjacielowi dłoń na pożegnanie. Mieszkałem kilka ulic od Exodusa, więc w zasadzie mógłbym się przejść, jednak Frankowski wyrwałby mi za to nogi z dupy.

Po tym, jak wszedłem do siebie, mój telefon dał o sobie znać. Wyleciało mi z głowy, że celowo wyłączyłem Internet, żeby nikt nie zawracał mi tyłka. U mnie hulało Wi-Fi, więc powiadomienia wylały się jedną, wielką falą. Instagram, Facebook, Tik Tok, X, Threads, nawet z LinkedIn coś przyszło. Ponieważ wcale nie czułem się senny, przyrządziłem sobie ostatniego już dzisiaj drinka, po czym zwałem się na kanapę. Najwyraźniej musiałem poświęcić odrobinę czasu na pieprzone social media.

Minęła godzina, zanim wszystko ogarnąłem. Ani nie byłem fanem, ani przeciwnikiem życia w sieci. Jeszcze z dziesięć lat temu poświęcałem temu mnóstwo energii – obecnie naprawdę je dawkowałem. Prowadzenie kont nie dość, że mi się znudziło, to dodatkowo zjadało czas, a jego nie miałem w nadmiarze. Ale ciężko było coś osiągnąć i do czegoś dojść w teraźniejszości bez social mediów.

W końcu włączyłem serial na Netfliksie i, nie przejmując się prysznicem czy choćby rozebraniem się, zająłem wygodną pozycję. Chyba nie za wiele obejrzałem, ponieważ urwał mi się film. Przebudziłem się jakiś czas później. Ślina ciekła mi z lewego kącika ust, ból głowy czaił się w skroniach, a w buzi czułem posmak zużytego trampka. Zwlokłem się i poszedłem do kuchni, żeby dopaść zimny sok z lodówki, a z szuflady wygrzebać jakieś tabletki przeciwbólowe.

Po powrocie do salonu złapałem za telefon. Dochodziła piąta rano, za oknem wschodziło słońce – uroki coraz dłuższego dnia w maju. Już odkładałem komórkę, kiedy moją uwagę przykuła otwarta karta na stronie Olx. Dotyczyła wynajmu lokalu w miejscowości Szopy, pewnie gdzieś na końcu świata. I właśnie ta myśl sprawiła, że mój umysł otrząsnął się z resztek snu i skupił na ukazującej mi się przyszłości, jakkolwiek absurdalnie obecnie to brzmiało.

Od razu powróciły do mnie słowa Szymona. Musiałem coś zmienić, bo jeśli nie teraz, to kiedy? I jeśli wciąż miałem się zastanawiać, to moja droga w dalszym ciągu byłaby uitorowana kolejnymi wymówkami.

Raz kozie śmierć.

Nie do końca przytomny starałem się skupić na treści ogłoszenia. Obejrzałem udostępnione zdjęcia i stwierdziłem, że miejscówka wygląda dość dobrze oraz z powodzeniem da się urządzić w niej studio tatuażu. Do dyspozycji była jedna połówka budynku, ale w niczym mi to nie przeszkadzało. Może gdybym był wróżką i znał przyszłość, zamknąłbym tę cholerną stronę,

wyrzucił z głowy absurdalne pomysły i na sam koniec przeżegnał się nogą. Tak dla pewności. Niestety wróżką nie byłem, wróżkiem też nie, więc nic mnie nie powstrzymało.

Pełen poczucia spełnienia zasnąłem szybciej, niż zdołałem mrugnąć okiem.

Ocknąłem się o dziewiątej. Próbując dojść do siebie nad kubkiem gorącej herbaty z cytryną, wziąłem telefon do ręki. Po odblokowaniu ekranu gały wyszły mi na wierzch. Im dłużej gapilem się na wiadomość, tym bardziej czułem się skonfundowany.

Pieprzyć to!

Przecież nie było powiedziane, że gdzieś indziej nie dam rady zacząć od nowa. Ludzie za mną pójdą, przez lata wydziarałem tysiące z nich, a wielu przyjeżdżało wyłącznie do mnie. Frankowski miał to samo, zresztą Exodus dorobił się zbyt wysokiej renomy, żeby moje odejście mu zagroziło.

Nie pozwalając sobie na kolejne wątpliwości, naskrobałem odpowiedź, po czym oparłem się na krześle i zapatrzyłem na betonowo-szklany krajobraz za oknem. Zrobiłem decydujący krok, więc teraz musiałem podążać wyznaczoną przez los ścieżką.

Rozdział 2

Marianna

Otworzyłam okna na oścież, z radością witając typowo wiosenną pogodę w najbardziej lubianym przeze mnie miesiącu – maju. Zaciągnęłam się świeżym powietrzem, pozwoliłam, żeby naga skórę na moich przedramionach owiał ciepły wiaterek i przez chwilę rozkoszowałam się śpiewem ptaków okupujących okoliczne drzewa. Kłębiaste chmury przetaczały się raz za razem po błękitnym niebie, ale nic nie wskazywało na to, żeby niosły ze sobą deszcz. Nie żebym miała coś przeciwko – majowe opady sprzyjały rozwojowi roślin, co, zwłaszcza na wsi, było istotną kwestią. Mimo to liczyłam, że słońce jak najdłużej zagości na nieboskłonie.

Uśmiechnęłam się pod nosem i chwyciłam za płyn do szyb. Lubiłam prozaiczne zajęcie, jakim było mycie okien. W ogóle lubiłam sprzątać i sprawiać, że rzeczy odzyskiwały ukryty pod warstewką kurzu blask. Może byłam w tym odosobniona, ale porządki pozwalały mi odciąć się od natrętnych myśli, odsunąć od siebie piętrzące się problemy czy wszelkiego rodzaju wątpliwości. Chyba każdy człowiek od czasu do czasu potrzebował pozbyć się nadmiaru energii, a to był właśnie mój sposób.

– Dzień dobry, Marianno – zawołały chórem trzy starsze kobiety, idące lewą stroną drogi, która błagała o chodnik, ale do tej pory się go nie doczekała.

Wójt naszej gminy nie posiadał odpowiednich funduszy, przynajmniej tak twierdził. A żeby starać się o pomoc z Unii Europejskiej, w urzędzie musiałyby pracować ktoś, kto umiałby napisać projekt.

– Dzień dobry! – odkrzyknęłam i pomachałam paniom.

Wanda Wieczorkowska, Jowita Rzęch i Krystyna Bączek były jednymi z najważniejszych mieszanek Szopów, małej wsi niedaleko Elbląga. Przynajmniej tak twierdziły, a nikt nie wyprowadzał ich z błędu. Kobiety należały do miejscowego kółka różańcowego, koła gospodyń wiejskich, a ostatnio nawet zapisały się do biblioteki. Byłam ciekawa, czy Jagoda, nasza bibliotekarka, zdążyła pochować najpikantniejsze romanse, bo jeśli te trzy damy by je dorwały, potrzeba byłoby jakiegoś egzorcysty. Dla Jagody, co zapewne stwierdziłoby szacowne grono.

Wanda, Jowita i Krystyna zapowiedziały, że wesprą mnie i moją działalność, do otwarcia której tak skrupulatnie się przygotowywałam.

Kiedy trzy panie zniknęły za zakrętem drogi – obstawiałam, że szły do sklepu na zakupy – wzięłam się ostro do pracy. Za kilka dni otwierałam salon fryzjerski, co było spełnieniem moich marzeń. Dla wielu osób, zwłaszcza z mojej poprzedniej pracy, decyzja o całkowitej rezygnacji

z ustabilizowanego w miarę życia była nie do przyjęcia, ale w ogóle nie brałam tego do siebie. Zamknęłam etap, kiedy trzymałam swoje pragnienia schowane w szufladzie z obawy, że się nie ziszczą.

Na studia z zarządzania wybrałam się, bo tak naprawdę zabrakło mi wtedy odwagi, żeby postawić na swoim i od samego początku zająć się tym, co sprawiało mi prawdziwą przyjemność. Nic nie dawało mi takiej radości jak uśmiechnięta twarz człowieka, któremu wyczarowałam nową fryzurę, a tym samym ukazałam jego zupełnie inną odsłonę.

Od nastoletnich lat bawiłam się włosami, testowałam farby i kosmetyki do ich pielęgnacji, zwabiałam do siebie każdą koleżankę, która zdecydowała się oddać w moje ręce. Niekiedy tego żałowały, innym razem były zachwycone. Na swoje usprawiedliwienie miałam to, że w tamtym czasie brakowało mi doświadczenia, bo eksperymentów na koleżankach, siostrach, mamie czy babci nie mogłam do tej kategorii zaliczyć.

Niestety stuliłam po sobie uszy i poszłam na studia z zarządzania – coś, na co wybierało się mnóstwo osób. Przecież w perspektywie czekała dobra praca, stabilność finansowa i możliwość rozwoju. Dość szybko pozbyłam się złudzeń.

Zaraz po studiach dostałam się do firmy, która zajmowała się serwisem dla klientów zewnętrznych z księgowości czy pożyczek. Na początku mi się wydawało, że nie będzie tak źle, że dam sobie radę w wyścigu szczurów. Żyłam w takim środowisku, które uważało, że robiąc to, co lubię, nie poczuję się tak spełniona jak dzięki stanowisku w korpo.

Pokonało mnie mnóstwo czynników. Deadliny, zazwyczaj tak krótkie, że nie było szans, aby wyrobić się w czasie. To z automatu przekładało się na jakość pracy. Często miałam do czynienia z ludźmi, których nie można było określić inaczej jak niekompetentni. Wielu z nich trwało w przekonaniu, że są najważniejsi. Szanse na awans były na tyle marne, że w końcu niektórzy żartowali, iż szybciej doczekamy się śniegu na Saharze niż wyższego stanowiska. Otrzymywaliśmy oceny roczne, które niczego nie wносиły, wyznaczano nam cele roczne, których i tak się nie spełniało. Niestety ci z góry wypięli się na nas i jeśli tylko znajdowali sposób, żeby zrobić cięcia kosztem zwolnienia pracownika, nigdy się nie wahali.

Wytrzymałam cztery lata, aż wreszcie powiedziałam sobie dość. Byłam zmęczona, nieszczęśliwa, koszmarnie zestresowana, coraz mocniej sfrustrowana. Kiedy spoglądałam w przyszłość, widziałam przygarbioną kobietę wracającą do pustego mieszkania. Na parapecie stał uschnięty kwiatek, a w lodówce czekała butelka wina. Wszystko dlatego, że przez te wszystkie lata nie znalazła czasu, aby nawiązać zdrową relację z normalnym facetem. Ta wizja koszmarnie mnie przeraziła i to był dla mnie przełomowy moment.

Najpierw zadzwoniłam do Darii, starszej ode mnie o osiem lat siostry, z którą byłam najbliższą. To właśnie jej najczęściej się zwierzałam. Wyrzuciłam z siebie wszelkie bóle, obawy i niepewność, siedzące we mnie od dawna. Daria cierpliwie słuchała, ani razu nie przerwała, a dopiero gdy zamilkłam, powiedziała mi znamienne słowa:

Nie pozwól, żeby strach tobą rządził. Masz tylko jedno życie, dobrze je wykorzystaj. Chcesz żałować na stare lata, że poddałaś się tłumowi, dla którego najważniejszy był pęd za pieniędzmi? Chcesz żałować, że nigdy nie zaważyłaś o spełnienie swoich marzeń?

To przesłanie wróciło do mnie za pomocą rozbrzmiewającego w głowie echa. Uśmiechnęłam się pod nosem. Dzięki Darii, a także dzięki nagłej przemianie, jaka się we mnie dokonała, odważyłam się rzucić dotychczasowe stabilne życie i zapoczątkować zupełnie nowy etap. Z dnia na dzień złożyłam wypowiedzenie, po trzech miesiącach zamknęłam za sobą te drzwi i pchnęłam nowe.

Zrobiłam roczną szkołę fryzjerstwa, w której poznałam mnóstwo osób. Wiele z nich niedowierzało, że zostawiłam pracę w korporacji, żeby zająć się czymś tak koszmarnie przyziemnym jak fryzjerstwo, jednak przestałam zwracać na to uwagę.

Rodzice i rodzeństwo bardzo wspierali mnie w tej decyzji, nigdy nie zakwestionowali tego, że postanowiłam zmienić całe swoje życie. Długo się zastanawiałam, gdzie się ulokować i przez chwilę wahałam się nad Elblągiem, w którym spędziłam wiele lat. Ostatecznie zdecydowałam się na otworzenie salonu w innym miejscu, ale nie tak bardzo oddalonym, lecz z praktycznie zerowymi perspektywami – małej wsi o zabawnej nazwie Szopy. Niegdyś mieszkali tam moi dziadkowie. Tam również prowadzili mleczarnię. Ich niewielki, drewniany domek już dawno został rozebrany, ale mleczarnia wciąż stała. Koniec końców zdecydowałam, że ją wyremontuję i urządzę w niej salon fryzjerski, a na poddaszu mieszkanie. Dość ryzykowna decyzja, lecz słowo się rzekło.

– Weź się do pracy, Mańka, czas nagli – zrugłam się pod nosem, wracając do rzeczywistości.

Nie mogłam pozwolić sobie na opieszałość, ponieważ dzisiaj miał zjawić się mój współlokator. Budynek był na tyle duży, że nie potrzebowałam na salon całego parteru, dlatego po namowach rodziców postanowiłam wynająć połowę. Nie liczyłam na wielkie powodzenie – w końcu kto oprócz mnie chciałby prowadzić biznes w takiej małej i zapomnianej przez Boga miejscowości. Jak się okazało, myliłam się, bo dosłownie kilka dni po umieszczeniu ogłoszenia na Olx skontaktował się ze mną pierwszy zainteresowany. Kolejnego dnia ustaliliśmy szczegóły spotkania i właśnie na dzisiaj się zapowiedział.

Minęło pół godziny, zanim przejrzałam się w błyszczących szybach wychodzących na większą drogę, na skrawek intensywnie zielonego trawnika, kostkę brukową i piękne, mocarne topole, które posadził mój dziadek. Zawdzięczałam mu nie tylko to miejsce, ale przede wszystkim imię. Uśmiechnęłam się z melancholią na wspomnienie człowieka o złotym sercu, o tym, jak huśtał mnie za swoim domem na prowizorycznej huśtawce, na którą składał się przymocowany do drzewa wiśni gruby sznur i kawałek deski służący za siedzisko.

Co, do licha, dzisiaj się z tobą dzieje?

Kolejny raz otrząsnęłam się z myśli i rozejrzałam po przestronnym pomieszczeniu o białych ścianach. Po spotkaniu z panem Julianem zamierzałam jeszcze powiesić roletę na oknie i porozstawiać zakupione przeze mnie dodatki, a także wypróbować nowy ekspres do kawy. Może to był zbytek, ale nie wyobrażałam sobie dnia bez kubka tego napoju.

Rzuciłam okiem na zegarek i z zadowoleniem dostrzegłam, że do przyjazdu potencjalnego najemcy zostało mi dwadzieścia minut. Pobiegłam na schody prowadzące na poddasze. Pchnęłam drzwi do mieszkania, notując w myślach, że wkrótce będę musiała pamiętać o ich zamykaniu, jeśli dzisiaj dobiję targu.

Dobrze, że byłam mistrzynią w braniu szybkiego prysznicu – zaleta, której dorobiłam się dzięki pracy w korpo, więc uwinęłam się w ciągu pięciu minut. Zdążyłam też zmienić strój na sięgającą mi do kostek sukienkę w róże, przeczesać długie, lekko falowane blond włosy i wrócić na dół.

Postanowiłam zająć się ekspresem, w nadziei, że niedługo wpompuję w siebie nieco kofeiny, której domagał się mój organizm.

Po pierwszym przepłukaniu wybrałam rodzaj kawy, podstawiałam jedną ze szklanek i przyglądałam się, jak czarna ciecz spływa do przezroczystego naczynia. Jej upajający aromat niemal mnie odurzył – Daria często się śmiała, że gdybym kiedyś zdecydowała się na ćpanie, to robiłabym to za pomocą aromatu kawy.

– Dzień dobry. Czy dobrze trafiłem i nazywa się pani Marianna Owczarek?

Podskoczyłam wystraszona. Próbując uspokoić nagle zerwane do biegu serce, obróciłam się w stronę źródła dźwięku, który dobiegał od drzwi.

Jakim cudem wcześniej nie usłyszałam zajeżdżającego pod budynek samochodu ani momentu, w którym ten przyjemny dla oka facet wszedł do środka?

Mężczyzna wyglądał na odrobinę starszego ode mnie – obstawiałabym granicę pięciu lat. Zmierzwione blond włosy wyglądały, jakby dawno nie widziały fryzjera, ale doskonale zdawałam sobie sprawę, że był to celowy zabieg. Look seksownego amanta, do tego gęsto rozsypane na nagich ramionach tatuaże i najbardziej lazuruowe tęczęwki, jakie kiedykolwiek u

kogokolwiek widziałam, z pewnością mu gwarantowały powodzenie u kobiet. Dodać do tego wysoki wzrost i wyrzeźbione ciało, a wychodziło niezłe ciastko.

Szybko odsunęłam od siebie te przyjemne, aczkolwiek niewłaściwe myśli i przywołałam na twarz delikatny, mocno profesjonalny uśmiech. Praca w korpo na coś mi się teraz przydała.

– Dzień dobry – odpowiedziałam z niebywałym opanowaniem. – Tak, to ja - potwierdziłam jego przypuszczenia. – A pan to Julian Kołodziejczyk?

Facet rozchylił usta i na moment zamarł, po czym przytaknął skinieniem głowy, nadal się na mnie gapiąc.

Podeszłam do niego – nie wyglądał jak biznesmen, przynajmniej taki typowy. Aż mnie ciekawiło, po co mu był potrzebny lokal do wynajęcia w takim miejscu. Po cichu liczyłam, że nie było to nic nielegalnego i szemranego.

– Bardzo mi miło. – Podałam mu dłoń.

Usta Juliana drgnęły, po czym zacisnęły się w wąską kreskę. Szybko jednak powróciły do pierwotnego stanu, a dziwny błysk z jego oczu także uleciał. Zaczęłam się zastanawiać, czy nic mi się nie przywidziało, ale w końcu zignorowałam to nietypowe uczucie. Musiałam przejść do interesów, bo przecież właśnie po to tu byłam. Julian także.

– Proszę usiąść – zaproponowałam miejsce na kanapie w morskim kolorze, która współgrała z białymi ścianami i turkusowo-białymi dodatkami leżącymi nadal w pudełku. – Napije się pan kawy?

Uśmiech Juliana tym razem sięgnął oczu, co uczyniło jego twarz znacznie bardziej przystępną i sympatyczną. Nie żebym mogła wcześniej mu tego odmówić.

– Uwielbiam kawę. Poproszę.

Podeszłam do ekspresu, grzecznie zapytałam, jaki konkretnie napój sobie życzy, a kiedy był już gotowy, zaniiosłam go na szklany stół i postawiłam tuż przed moim gościem. Przysunęłam sobie krzesło, bo na początku wolałam zachować dystans, zwłaszcza w kwestii interesów.

– A więc chce pan wynająć połowę mojego lokalu – zaczęłam wyważonym tonem. – Co planuje pan w nim prowadzić?

– Przenosi salon tatuażu – oznajmił i nagle zamilkł. – Przenoszę. Przepraszam – bąknął zmieszany.

Musiałam przyznać, że wyglądało to dość zabawnie – z początku niesamowicie pewny siebie facet, a już zdążyłam wyłapać kilka momentów, które temu przeczyły.

– Salon tatuażu? – powtórzyłam zbaraniała.

W Szopach? Małej wsi na Warmii i Mazurach? Ale że jak?

– Czy to jakiś problem? – Nie potrafił ukryć zdziwienia.

Mańka, opanuj się. Nie przysparzasz sobie tym sympatii pana Juliana.

– Żaden – odparłam, przywracając na twarz pogodę ducha. – Tylko czy...

Julian milczał, wpatrując się we mnie tymi przenikliwymi oczami.

– A co z klientami? – zapytałam możliwie jak najbardziej taktownie.

Mężczyzna wygładził odrobinę zmarszczone czoło, zaplótł ręce na szerokiej klatce piersiowej, przez co poruszyłam się niespokojnie. Wyglądał na trochę groźnego, kiedy się nie uśmiechał.

– Przyjdą. Nie na nogach – dodał żartobliwie, a jego kąciki ust znów się uniosły. – Mogę zobaczyć swoją część?

W ostatniej chwili ugryzłam się w język, że na dobrą sprawę nie ma tu nawet ćwiartki czegokolwiek. Kołodziejczyk był specyficzny, ale uważałam, że należał do tych nieszkodliwych typów. Moja intuicja nie krzyczała, żebym trzymała się od niego z daleka, a raczej jej ufałam.

– Oczywiście. – Wstałam i wygładziłam nieistniejące zagniecenia na sukience, po czym ruszyłam do wyjścia na główny korytarz.

Słyszałam za sobą ciężkie kroki. Złapałam za klamkę drzwi na wprost i weszliśmy do drugiego pomieszczenia. Było na tyle przestronne, że dałoby radę urządzić w nim jakieś małe wesele.

Pozwoliłam, aby Julian niespiesznie rozejrzał się w środku. Kiedy wyciągnął telefon i zaczął robić zdjęcia, nie dałam po sobie poznać, że mnie zaskoczył. Chociaż jeśli chciał pokazać fotografie komuś bliskiemu, ze zdaniem kogo się liczył, to co mi było do tego?

Mężczyzna kręcił się dłuższą chwilę, aż zrobiło mi się głupio, że tak stoję i gapię się na niego, jakby przynajmniej planował coś stąd ukraść. Kraść nie było co, oprócz gołych ścian, a nawet z taką aparycją nie dałby im rady.

– Będę u siebie, proszę się nie spieszyć.

Julian podniósł głowę znad telefonu, skinął na znak zgody i powrócił do cykania zdjęć. Ja tymczasem poszłam do siebie i z kartonów wyciągnęłam różne ozdoby. Mój uśmiech z każdą sekundą się poszerzał, serce biło radosnym rytmem. Już nie mogłam się doczekać, aż lokal zapelni się klientami, a ja będę miała pełne ręce roboty.

W pewnym momencie usłyszałam, że Kołodziejczyk z kimś rozmawia. Włączyłam w telefonie listę na Spotify i, nucąc pod nosem, wzięłam się do pracy. Kilka minut później już drugi raz tego dnia podskoczyłam.

Julian stał w drzwiach ze skruszoną miną.

– Przepraszam, że panią wystraszyłem – kajał się. – Jestem zdecydowany.

– Słucham?

– Wynajmę ten lokal – zapewnił.

Miałam ochotę uszczypnąć się w ramię. Czy to naprawdę się działo? Pierwszy zainteresowany i już? Nie powinien pozadawać trochę pytań? Nawet nie zagałę o wysokość czynszu.

– Coś nie tak? – Najwyraźniej moja mina mówiła sama za siebie.

Chrząknęłam i zabrałam głos:

– Nie dopytasz... Najmocniej przepraszam. Nie interesuje pana cena za wynajem? Inne szczegóły? Należałoby omówić warunki umowy i tak dalej – wymieniałam.

Twarz Juliana nabrała ostrzejszych rysów, zniknęła uśmiech. Przestraszyłam się, że go zdenerwowałam i że zaraz zrezygnuje. Naprawdę nie powinnam być wścibska. Ale z drugiej strony to było zbyt piękne, żeby było prawdziwe, a ja miałam pełne prawo zadać każde pytanie, jakie przyjdzie mi na myśl.

– Zapłacę każdą cenę. Lokal mi odpowiada, więc możemy podpisać dokumenty i jeśli to tylko możliwe, chciałbym dzisiaj dostać klucze – poprosił.

Nie wyglądał przy tym na szczególnie szczęśliwego, więc coraz mniej z tego rozumiałam, lecz postanowiłam wziąć na wstrzymanie i dopiąć tę umowę.

– Oczywiście. – Ruszyłam na zaplecze i z szuflady w biurku wyciągnęłam dwa arkusze. Należało uzupełnić je o dane najemcy, ale większość informacji została już wpisana.

Podaliśmy jeden z nich Julianowi, który wlepił wzrok w kartkę, a gdy wreszcie go podniósł, pokiwał głową.

– Podpisujemy – zgodził się.

Przez chwilę miałam ochotę się temu przeciwstawić, kazać mu wyjść i poczekać, aż zgłosi się ktoś bardziej wymagający, jednak po chwili zbeształam się w myślach, poprosiłam Kołodziejczyka, żeby usiadł i zabrałam się do roboty.

Kilka minut później, kiedy tusz jeszcze nie wyschnął, a Julian krótko się pożegnał, podeszłam do okna, by obserwować, jak wyjeżdża. Zgodnie z zapowiedzią, na dniach miał zjawić się w salonie wraz ze sprzętem i meblami, i powoli się urządzać. Byłam niezmiernie ciekawa, jak ułoży się nasza współpraca i czy jego interes się tu przyjmie. Na razie jednak zamierzałam zająć się swoim i zadbać, aby to moi klienci byli zadowoleni.

Rozdział 3

Julian

Z ukłuciem w sercu rozejrzałem się po swoim gabinecie w Exodusie. Jeszcze tydzień temu nie przypuszczałem, że w końcu zdecyduję się na odejście, ale ta oto chwila nastąpiła. Z jednej strony, nadal walczyłem z wątpliwościami, co niemiłosiernie mnie wkurwiało – czułem się przez to jak cipka, a nie znośłem tego uczucia. Z drugiej strony, od kilku dni chodziłem bardziej zrelaksowany i z większym optymizmem spoglądałem w przyszłość. Dlatego parłem naprzód i wolałem nie oglądać się za siebie – jeszcze przyszłoby mi na myśl zrezygnować, a wtedy Szymon z pewnością obiłby mi mordę.

– Pomóc ci?

Obróciłem się i spojrzałem najlepszemu przyjacielowi prosto w oczy. Wciąż widziałem w nich lekką urazę za ostatnią prośbę, ale byłem pewny, że szybko mu przejdzie. Niestety nie mogłem inaczej postąpić, a jakoś dziwnie zależało mi na tej lokalizacji.

– Jeśli masz ochotę – uznałem z rozbijającą szczerością.

Nie chciałem do niczego go przymuszać z obawy, że nasze rozstanie okaże się dla niego jeszcze cięższe. Może i Frankowski potrafił zachować pozory, jednak zbyt dobrze go znałem, żeby nie zauważyć, że moja decyzja na niego nie wpłynęła. Lecz nawet mimo to nie pozwoliłby mi zostać.

– Coś sugerujesz? – Zmarszczył czoło i ruszył ku jednej z szafek.

– Masz stan napięcia przedmiesiączkowego? – odbiłem piłeczkę.

Liczyłem, że głupim żartem nieco rozluźnię atmosferę.

– Stary, mogłeś to jakoś inaczej załatwić. Jeśli ta laska się wścieknie, a byłbym zdziwiony, gdyby nie wybuchnęła, to będziesz sam sobie winien – uznał.

Westchnąłem. Nie zamierzałem się o to kłócić. Nie miałem wyjścia, a poza tym szlag by mnie trafił, gdybym nie postawił na swoim. Byłem uparty, cóż poradzić.

– Zajmę się tym i wszystko jej wytłumaczę. Nie będzie zła – przekonywałem, choć doskonale wiedziałem, że wybuchu to raczej nie uda mi się uniknąć.

– Przepraszam – rzekł nagle i ostrożnie włożył jedną z moich ulubionych maszynek do walizki ochronnej na sprzęt do tatuażu. – Wiesz, że takie zachowanie nie jest w moim stylu.

– Rozumiem i przepraszam, że postawiłem cię pod ścianą. Wynagrodzę ci to – obiecałem.

Nie znośłem przeproszać, ale Salvatore sobie zasłużył i był jedną z nielicznych osób, które mogłem poczęstować tym słowem.

– Wiem, że wynagrodzisz. Wystarczy, że wreszcie będziesz szczęśliwy – stwierdził jak gdyby nigdy nic.

Przewróciłem oczami i powróciłem do przerwane go pakowania.

Zabierałem swój sprzęt, który przez lata zgromadziłem w Exodusie. Meble zamówiłem nowe, tak samo jak łóżko i taboret dla mnie. Zresztą do planowanego za tydzień otwarcia miałem czas dokupić wszystko, czego tylko potrzebowałem.

Cały sprzęt znieśliśmy do mojego samochodu. Nazajutrz rano wyruszałem do Szopów – wciąż nie potrafiłem powstrzymać śmiechu na samo brzmienie nazwy tej wsi – gdzie zamierzałem zacząć od nowa.

Ludzie pytali, dlaczego rezygnuję z Exodusu i Warszawy, interesowali się, czy to tymczasowy kaprys. Nie zamierzałem nikomu się tłumaczyć, więc jedyne, co ode mnie słyszeli, to to, że nadszedł czas na zmiany. Obiecałem wkrótce podzielić się nową lokalizacją na moich kontaktach w social mediach, ale póki co niczego więcej nie zdradziłem.

– Wpadniesz wieczorem na pożegnalną kolację? Żaneta obiecała, że przyrządzi twojego ulubionego kurczaka teriyaki.

Szymon oparł się o moją brykę i świdrował mnie wzrokiem. W ten mało subtelny sposób dawał do zrozumienia, że jeśli nie przyjmę zaproszenia, zarówno on, jak i Żenia śmiertelnie się obrażą, i będę musiał wyjechać bez ich błogosławieństwa. Bywałem dupkiem, ale nie aż takim i nie wobec Żanety. Salvatore urwałby mi łeb i do niego narobił, gdybym zasmucił jego ukochaną. Ciężarną ukochaną z szalejącymi hormonami. Brzmiało strasznie, nieprawdaż?

– Jasna sprawa. Tylko od razu zaznaczę, że nie piję. Jutro muszę być na chodzie, czeka mnie ciężki dzień – zapowiedziałem.

Szymek przytaknął, poklepał mnie po ramieniu i wrócił do salonu. Przez chwilę stałem i patrzyłem na budynek, któremu poświęciłem mnóstwo lat swojego życia. Już tęskniłem, jednak słowo się rzekło.

Wróciłem do siebie i w momencie, kiedy zacząłem rozglądać się po mieszkaniu, zastanawiając się, co ze sobą wziąć, mój telefon dał o sobie znać.

Matka. No pięknie.

– Cześć – rzuciłem do słuchawki.

Wyszedłem na rozległy taras.

Wszędzie ten cholerny beton i szkło.

– Julian.

Mama zwracała się do mnie per “ Julian” tylko wtedy, gdy szykowała reprimendę albo zamierzała przemówić mi do rozsądku.

– Z czym dzwonisz? – Od razu przeszedłem do rzeczy.

– Skarbie. – *Oho. Zmiana taktyki.* – Czy jesteś pewien, że wyjazd z Warszawy jest dobrym wyjściem?

Nic mnie tak nie wkurwiało, jak fakt, że inni próbowali mnie uświadomić, co jest dla mnie lepsze i często robili to za wszelką cenę. Nie potrzebowałem nianiek, umiałem korzystać z mózgu, a nawet jeśli popełniłem błąd, to dokładnie na tym polegało życie. Nawet gdy wspomniane błędy popełniałem wielokrotnie.

– Mamo – siliłem się na spokój, ale byłem świadomy, że jeśli nie odpuści, nie zdołam się opanować – wszystko wam wyjaśniłem.

– W Warszawie masz ugruntowaną pozycję, jesteś kimś – perorowała. – Ludzie cię szanują, liczą się z tobą. Jesteś zapraszany na wszelakie konwenty na całym świecie. A ty chcesz to zaprzepaścić, bo przechodzisz jakiś kryzys?

No i lont się zapalił. Czułem, jak moje nozdrza falują, a wściekłość bulgocze w żyłach. Byłem ustawiony i, jak wspomniała Maria Kołodziejczyk, szanowany w swoim środowisku. Ale moja decyzja o przeprowadzce godziła w jej poczucie wyniosłości, którym przesiąknęła w tym mieście. Każdy z nas miał coś na sumieniu, jakiegoś diabła za skórą, a to był właśnie jej. Do tej pory głównie zbywałem liczne komentarze dotyczące prób ustawienia mnie w szeregu, jednak tego nie zamierzałem zdzierżyć.

– Mamo – wycedziłem przez zaciśnięte zęby, walcząc z narastającą we mnie chęcią, aby na nią nawrzeszczeć. Na szczęście, pomimo licznych wad matki, miałem dla niej szacunek. – Chcesz, żebym wyjechał skłócony z tobą?

Jedną z obaw Marii Kołodziejczyk było to, że się od nich odetnę i zerwę z nimi kontakt. Raz, wiele lat temu, rzuciłem w nerwach coś podobnego, bo matka przegięła z wtrącaniem się w moje życie. Od tamtej pory stała się bardziej ostrożna – zdawała sobie sprawę, do czego jestem zdolny.

Po drugiej stronie zapanowała pełna napięcia cisza.

– Przepraszam – wydusiła, na co nieomal prychnąłem.

Musiałbym być skończonym idiotą, żeby dać się na to nabrać. Jej przeprosiny w ogóle nie były szczere, lecz postanowiłem tego nie drażnić. Wystarczyło, że ominie mnie kazanie.

– Jutro wyjeżdżam – przypomniałem. – Gdy się urządzę, skontaktuję się z wami, i jeśli będziecie mieli ochotę, to mnie odwiedźcie.

– Już nie mogę się doczekać.

Kłamstwo, ale nie wspomniałem o tym na głos.

– Pozdrów tatę. Uważajcie na siebie.

– Ty również. I odzywaj się do nas.

– Dobrze.

Zakończyłem tę dziwną i dość chłodną rozmowę, po czym zająłem się pakowaniem. Niektóre ubrania i jakieś drobiazgi zabierałem ze sobą. Resztę przenosiłem do Szymona, przynajmniej do momentu, aż się nie zastanowię, co z tym zrobić. Nazajutrz rano miała się zjawić firma przeprowadzkowa, a ja odjechać w stronę zachodzącego słońca. W Szopach.

Wieczorem stawilem się u przyjaciół. Żenia naprawdę się postarała i przygotowała przepyszną ucztę. Nawet upiekła mój ulubiony sernik, za co miałem ochotę wycalować jej stopy, ale przez wzgląd na Salvatore się powstrzymałem. Dałbym sobie głowę uciąć, że nie przyjałby tego zbyt entuzjastycznie.

W sądny dzień wstałem dość szybko, przynajmniej jak na siebie. Siedząc do późnych godzin nocnych, nie zrywałem się wcześniej niż o dziewiątej. Dziś załapałem się na wschód słońca, co zakrawało na istny cud. Jeszcze raz przejrzałem swoje rzeczy, a o ósmej pozwoliłem je zabrać dwóm pracownikom firmy przeprowadzkowej. Właściwie mogłem się zbierać, gdyż czekało mnie kilka godzin jazdy. Przrzekłem Szymonowi, że nie będę wariował na drodze, inaczej osobiście skonfiskowałyby mi auto. Był do tego zdolny, więc dziś musiałem się powstrzymać.

Dzień zapowiadał się słonecznie i bardzo ciepło, co pozytywnie wpłynęło na mój nastrój. Przed dziewiątą ostatni raz powiodłem wzrokiem po mieszkaniu i w końcu wyszedłem. Zamierzałem je wynająć, żeby nie stało puste. Drugi komplet kluczy miał Frankowski, któremu powierzyłam nad nim pieczę.

Po wskoczeniu do auta odpaliłem playlistę na Spotify, modląc się, żeby przetrwać wyjazd z tego wiecznie zakorkowanego miasta. Dźwięki *The fight within* Memphis May Fire kołysały moje nerwy, ale na dłuższą metę nawet one nie były w stanie zagwarantować mi spokoju.

Zanim opuściłem stolicę, upłynęło dokładnie pięćdziesiąt minut. Wiem, bo co rusz zerkałem na zegarek. Wpuściłem pełen ulgi oddech, gdy wjechałem na S7, prosto w stronę Gdańska. Dodałem gazu, jednak bez standardowych szaleństw, mimo że tak bardzo mnie kusiło. Dla pewności włączyłem ballady rockowe, bo przy bardziej żywych kawałkach moja noga znacznie nabierała ciężkości.

W połowie drogi przypomniałem sobie, że obiecałem skontaktować się z kobietą, która wynajmie mi mały dom. Tuż po tym, jak porozmawiałem z Marianną Owczarek, doznałem olśnienia, że nie ogarnąłem żadnego mieszkania. Od Szopów do Elbląga było raptem kilka kilometrów, ale nie po to uciekałem z miasta, żeby z powrotem się do niego pakować.

Dlatego uznałem się za ogromnego szczęściarza, kiedy udało mi się znaleźć coś na wynajem i to w samych Szopach. Ten zbieg okoliczności uznałem za znak od losu, że podjąłem właściwą

decyzję. Nie byłem przesądny, piątek trzynastego, czarny kot czy inne bzdety nie robiły na mnie wrażenia, jednak tym razem się z tego ucieszyłem.

Wybrałem numer i czekałem, aż ktoś odbierze.

– Słucham – przywitał mnie śpiewny głos po drugiej stronie.

– Z tej strony Julian Kołodziejczyk. Rozmawialiśmy ostatnio i...

– A tak, tak. Przypominam sobie. Już jest pan w Szopach? – dociekała.

– W połowie drogi. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, na miejsce dotrę za godzinę z hakiem – wyjaśniłem. – Dlatego chciałem uprzedzić...

– Po co panu hak? – wtrąciła.

Zbaraniałem. Że co?

– Co pan zamierza tu robić? Czy jest pan seryjnym mordercą? – dywagowała z wyraźną nutą niepokoju.

Rzadko komu zdarzało się wprawić mnie w osłupienie, jednak ta damulka osiągnęła ten cel bez większego wysiłku. Ona żartowała, prawda?

– Proszę pana, jest pan tam? Proszę przyjąć do wiadomości, że mamy tu posterunek policji. Mały, bo mały, ale aspirant Gruchała nie z takimi sobie radził – kontynuowała bez zająknięcia.

– Nie jestem seryjnym mordercą. Żadnym innym też nie – wyjaśniłem, siłąc się na cierpliwość.

Szkoda, że zazwyczaj nią nie grzeszyłem.

– Będę pana bacznie obserwowała – zapowiedziała. – I liczę, że nie odprawia pan mszy na cmentarzu w nocy. Ostatnio mieliśmy z takim jednym do czynienia, więc razem z Jowitą i Krysią wzięłyśmy sprawy w swoje ręce.

Drugi raz w tak krótkim czasie zabrakło mi słów. Wzięłem głęboki oddech, po czym się odezwałem:

– Mogę pani przedstawić zaświadczenie o niekaralności, jeśli to panią uspokoi. W każdym razie do zobaczenia wkrótce.

– Do zobaczenia.

– Julek, jesteś pewien, że chcesz użerać się z jakąś postrzeloną babą? – wymamrotałem sam do siebie po zakończeniu rozmowy.

Od razu powinienem poszukać czegoś innego, ale nie znosiłem poddawać się na starcie. Poza tym nie obawiałem się jakiejś starszej pani, z którą raczej nie będę miał większej styczności. Odbiorę klucze do domu, ureguluję czynsz na kilka miesięcy do przodu i będę trzymał się z daleka. Zresztą całe dnie i tak będę spędzał w salonie. Z automatu przypominałem sobie o właścicielce lokalu.

Podgłosiłem muzykę i resztę drogi spędziłem wśród dźwięków ciężkiej gitary, dudniących bębnów i porywającego basu.

Wreszcie dotarłem na miejsce. Prawie. Ujrzałem tabliczkę z napisem “Szopy” i odetchnąłem z ulgą. W moim sercu wezbrało podekscytowanie na myśl o nowym etapie w życiu. Naprawdę tego potrzebowałem i właściwie dopiero w tym momencie tak naprawdę to do mnie dotarło. Płuca napęłniły się drogocennym, jakże innym niż w Warszawie powietrzem, a szeroki uśmiech zawitał na twarzy. Miałem dobre przeczucia.

Jechałem powoli, rozglądając się dookoła. Byłem ciekaw okolicy i pod wielkim wrażeniem tego, jaki panował w niej spokój. Kiedy pod moje koła niemal wyskoczyła kura, dałem ostro po hamulcach i pod wpływem szarpnięcia prawie wkomponowałem się w kierownicę.

– Kurwa mać!

Kura uciekła, niepomna tego, że niewiele brakowało, a została by rosołem, tymczasem ja stałem na drodze, próbując przyswoić sobie informację, że żywe ptactwo porusza się tu z pełną swobodą.

Wreszcie ruszyłem dalej. Szopy, na pierwszy rzut oka, były urokliwą miejscowością, w której królowała cisza. Pośpiech nie miał tu wstępu, gdzie okiem nie sięgnąć, wszędzie dostrzegałem zielen, kolorowe kwiaty, słyszałem szum wiatru i nawet śpiew ptaków. Miałem wrażenie, jakbym przeniósł się do zupełnie innego świata. Było to odrobinę surrealistyczne uczucie.

Gdy zobaczyłem sklep przy drodze, wrzuciłem kierunek i zaparkowałem przed budynkiem z nieco odrapaną elewacją. Niezrażony tym wysiadłem i zsunąłem na nos moje ray-bany. Ledwo wszedłem do środka, opanowało mnie przekonanie, że ktoś wsadził mnie do kapsuły czasu i cofnął o kilkanaście lat. Całkiem niedawno widziałam na Tik Toku wnętrze sklepu z czasów PRL-u. To miejsce idealnie je odwzorowywało.

Białe półki z zielonymi rantami zapchane były towarem wszelkiej maści. Na ścianach wciąż znajdowała się boazeria, niemodna już przecież od lat. W oknach wisiały stare żaluzje, a pokrywała je spora warstwa kurzu. Potrząsnąłem głową i wróciłem do rzeczywistości.

Od rana nie miałem nic w ustach oprócz dziennej porcji Red Bulla – nie znosiłem kofeiny pod inną postacią, kawa dla mnie nie istniała. Kiedyś Salvatore próbował przekonać mnie do tego napoju, ale nic z tego. Ten smak i zapach przyprawiał mnie o mdłości.

Rozejrzałem się po wnętrzu i wtedy je dostrzegłem. Trzy starsze panie stały wyprostowane jak na musztrze, a ich oczy wlepione były w jeden punkt – we mnie. Uśmiechnąłem się i bezczelnie obserwowałem to małe zgromadzenie.

Liderka, jak postanowiłem nazwać panią w środku, odrobinę wysuniętą przed szereg, świdrowała mnie swoimi małymi ślepiami i podpierała się rękami na dość szerokich biodrach. Postawna, wcale nie taka malutka, wyglądała jak pani Doubtfire z filmu z Robim Williamsem. Nawet okulary miała takie same.

Pani po lewej nieudolnie udawała, że wcale się na mnie nie gapi, lecz szło jej to niezbyt dobrze. Etytu Jamesa Bonda raczej by nie otrzymała.

Natomiast we wzroku kobiety po prawej dojrzałem przerażenie, co mnie zdziwiło. Uniosłem brwi i dopiero po chwili się zorientowałem, że gapi się na moje tatuaże. Gdyby tylko była świadoma, że pod ubraniem kryło się ich znacznie więcej – niechybnie przyczyniłbym się do zgonu. Prawdopodobnie nawet do trzech.

Śledzony wzrokiem, podeszedłem do lodówki stojącej przy jednej ze ścian. Wybór powalał – trzy rodzaje piwa i to takiego, które nazywali „bączkiem”, dwa rodzaje energetyków, słabych podrób Red Bulla i oranżada w szklanej butelce, którą, jak sądziłem, już dawno wycofali z produkcji. Jak się okazało, oranżadzie nic nie było, miała się zupełnie dobrze.

– W czymś panu pomóc? – odezwała się ekspedientka.

Obejrzałem się przez ramię i mój wzrok spoczął na kobiecie dobiegającej pięćdziesiątki, za to z sympatycznym wyrazem twarzy.

– To wszystko, co posiada pani z zimnych napojów? – zagailem.

– A co, za mało?

Popatrzyłem do tyłu przez ramię. Jak się okazało, te słowa padły z ust liderki. Nadal stała podparta rękami, a jej zacięty wyraz twarzy skojarzył mi się ze zirytowanym buldogiem francuskim. Zacisnąłem usta, żeby nie parsknąć śmiechem na cały głos. Zamiast tego powoli się obróciłem, w ironiczny sposób uniosłem prawy kącik ust, skrzyżowałem ręce na klatce piersiowej i obserwowałem, jak trzem strażniczkom Teksasu powiększają się źrenice. Moja postura plus dziary mogły wzbudzać niepokój.

– Nic takiego nie powiedziałem. – Łypnąłem okiem na prowadyrkę rozmowy. – Są bajgle?
– Wróciłem do pozycji sprzed chwili, a pytanie skierowałem do pani za ladą.

– Pan z miasta się nam trafił. – Liderka najwyraźniej nie zamierzała ułatwić mi zakupów. – Jakież bajgle mu się marzą. Francuskie bułeczki. Tu nie Francja, tylko Polska.

Będzie wesoło.

– Bajgiel ma z Francją tyle wspólnego, co ja.

– Francuz? – zapiała liderka. – Słyszaliście? – zwróciła się do swoich współtowarzyszek. – Francuz w Szopach. Polskiego pochodzenia?

Słyszając to, nie wytrzymałem i odchyliłem głowę, wybuchając śmiechem. Ta scena nadawała się do kabaretu – była tak groteskowa i zabawna, że nie sposób było zachować obojętności. W sklepie zapanowała cisza jak makiem zasiał, a moja widownia znieruchomiała. Pomimo anegdotyczności tej sytuacji chciałem się stąd jak najszybciej ulotnić, więc momentalnie się uspokoiłem i podszedłem do lady.

– To może chociaż ma pani jakieś drożdżówki? – Uśmiechnąłem się do ekspedientki, która walczyła o zachowanie powagi i szybko opuściła wzrok.

– Oczywiście. Z serem, z makiem, z budyniem, z jagodą albo z jabłkiem.

– Dwie z jagodą poproszę. I tę dużą Coca-colę. – Kiwnąłem głową w stronę półki z napojami. Żałowałem, że nie mieli zimnej, ale musiałem to jakoś ścierpieć. Mogłem najwyżej wrzucić ją do zamrażarki w swoim nowym domu.

Za moimi plecami panowała cisza jak makiem zasiał, aż przyszło mi na myśl, że wioskowy monitoring zemdlął z wrażenia.

– Dwadzieścia jeden złotych – usłyszałem głęboki głos ekspedientki.

– Kartą – rzekłem odruchowo.

Drwiący śmiech za mną odrobinę mnie zdezorientował. Wioskowy monitoring miał się dobrze. Byłem ciekaw, czym tym razem mnie uraczą.

– Jaki nowoczesny Francuzik – wybrzmiał głos liderki.

Najpierw zaniemówiłem. Później zacząłem się zastanawiać, czy aby się nie przesłyszałem. Na samym końcu doszedłem do wniosku, że wiejska Mata Hari potrafi posługiwać się żartem, o co w życiu bym jej nie podejrzewał, ale gdy spojrzałem jej w oczy, zrozumiałem, że to nie są żarty. Ona mówiła serio.

Witamy w Szopach. Niezły początek, Lemurze. Chcesz się przekonać, co będzie dalej?

– Nowoczesny Francuzik? – powtórzyłem oniemiały.

– Taki młody, a już głuchy – cmoknęła liderka. – Tu się płaci gotówką. W jakim świecie ty żyjesz? – Zmrużyła oczka.

Popatrzyłem na nią, na ekspedientkę, na policzkach której wykwitł delikatny rumieniec, i znów na nią.

– Nie mamy terminala – wtrąciła ekspedientka. – Przyjmujemy tylko gotówkę.

– Rozumiem – sapnąłem. – Pójdę do samochodu po portfel – wyjaśniłem.

Zignorowałem trio, które w tym sklepie najwyraźniej robiło za ochronę, lecz przed kim, tego nikt nie wiedział, włącznie z ochroną, i wróciłem się po kasę.

Kiedy już z prowiantem wsiadłem do auta, pokręciłem głową z niedowierzaniem. Mogłem tylko mieć nadzieję, że ten „występ” nie był żadną wskazówką, jak od tej pory będzie wyglądało moje życie.

Odjeżdżając, dostrzegłem w lusterku, że znaczne trio wychodzi ze sklepu i rozpierzcha się jak karaluchy. Pokręciłem głową, po czym kierowany nawigacją ruszyłem do domu pani Wandy. Pewnie już na mnie czekała z kluczami i psioczyła, że nie szanuję jej cennego czasu.

Po minucie zatrzymałem się pod starą, nieco zardzewiałą bramą. Jakies dwadzieścia metrów dalej stał murowany dom z balkonem od frontu i ceglata elewacją. Według nawigacji dotarłem do celu. Zgasilem silnik, wysiadłem i się rozejrzałem. Nikogo nie było na zewnątrz. Próba kontaktu z panią Wieczorkowską nic nie dała – nikt nie odezwał się po drugiej stronie. *Co, do kurwy nędzy?*

Czułem narastającą we mnie złość, gdy za plecami usłyszałem hałas. Obróciłem się i wtedy kopara opadła mi do samej ziemi. I nie tylko mnie, bo liderka ze sklepu na mój widok prawie zleciała ze swojego roweru.

Znowu w życiu mi nie wyszło – zanuciłem pod nosem piosenkę Budki Suflera.

Mierzyłem się wzrokiem ze starszą panią. Dla kogoś postronnego mogliśmy wyglądać, jakbyśmy szykowali się do walki na śmierć i życie. Jak na Dzikim Zachodzie. Zwycięzca mógł być tylko jeden.